

Kilka minut po piątej spadł ciepły wrześnieowy deszcz. Podnoszą się z ławki pod blokiem, żeby przeczekać pod daszkiem przy śmietniku. Lacha biegnie truchtem.

Baczer wrzeszczy za nim:

– Deszczu się boisz?

– Nówki. – Lacha pod osłoną daszku ogląda adidasy.

– No to co? Rozkleją ci się? – Baczer przepuszcza Jolkę przodem.

– Spoko, firmowe. Brat przysłał mi z Chicago.

– Firmowe – prycha Baczer. – Import z Chin.

– Mówię, że amerykańskie.

Koń dołącza do nich.

– Czyli musowo chińskie – mówi. – Żółtki swoje barachło wszędzie wcisną.

– Pokazać ci metkę? Stoi jak wół: mejd in de ju es ej.

Baczer się śmieje.

– Takie metki to możesz kupować garściami na stadionie.

– I amerykańskie firmowe nówki też – wtóruje mu Koń.

– Prosto z salonu Czing Cziong Czianga.

– Zalewasz. Podróbek od żółtków w życiu bym nie założył.

Daj przyjarać.

Koń podsuwa Lasze zapalniczkę.

– Co jest? Miałeś nie palić?

– To po co mnie wkurzasz?

– Mówię jak jest. Połowa towarów na rynku to chiński szajs.

– Koń ma rację. – Jolka włącza się do rozmowy. – Widziałam program w telewizji. Chińska szwaczka za godzinę pracy

dostaje osiemdziesiąt centów. A amerykańskiej musieliby zapłacić dziesięć dolarów. Czyli Amerykanom kalkuluje się kupować towar w Chinach i sprzedawać u siebie. Logiczne?

Lacha strzyka śliną.

– U nas im się nie uda. W Warszawie nie będzie żadnego Chinatown.

Koń zakaszłał, jakby się zakrztusił.

– Tak? A mrówkowce za Żelazną Bramą? Połowę mieszkań wynajmują Chinole.

– Wietnamce – poprawia go Baczer.

– Niech będzie. Jedna hołota.

– Lacha, nie łam się. – Baczer udaje, że chce przydeptać Lasze adidasy. – Jak zaczną podskakiwać, to damy im pierdol.

Koń wrzuca niedopałek do kałuży przy śmietniku.

– Całego miasta nie oczyścisz – mruczy.

– Całego miasta nie. Ale niech który pokaże się w okolicy.

– Na placu jeszcze żadnego nie widziałem – mówi Lacha. Jolka wychyla głowę i rozgląda się.

– Romek, gdzie podziałeś Belfa?

Koń zaczyna naraz grzebać po kieszeniach, jakby czegoś pilnie szukał.

„Jolce wolno – myśli Lacha, kuląc się instynktownie. – Niechby któryś z nas odezwał się do Baczera po imieniu!”

Baczer dopala papierosa.

– Łazi gdzieś – odpowiada. – Nie zgubi się. Jest u siebie.

– Powinieneś zakładać mu kubeł – upiera się Jolka. – Dziabnie kogoś i będzie afera.

– Szkolony.

– A jak mu coś odbije?

– Gryzie tylko na rozkaz. Sam uczyłem.

– Pies to pies.

– Jolka, tylko nie pies!

– Przepraszam.

Baczer gwizdże.

– No i jest. Po co ten niepokój?

Koń odsuwa się przezornie.

– Wiesz co, Baczer? Mordę to on ma, że Boże zmiłuj! Na sam widok można narobić w gacie.

– I o to chodzi. Podobny do Lachy.

Lacha śmieje się ze wszystkimi.

– Czego pani po mnie oczekuje, pani Majchrowska? Syn, jakby to powiedzieć, jest nieco ociężały – zawyrokowała wychowawczyni już w czwartej klasie podstawówki.

– Ociężały? – powtórzyła pytająco Majchrowska.

– No, wolno myśli. Wiele z niego nie wyciśniemy.

– Co z ciebie wyrośnie? – narzekała Majchrowska tradycyjnie po każdej wywiadówce. – Gdyby żył ojciec, już on by cię dopilnował!

Nie miała racji. Stary Majchrowski nic by nie wskórał. Z pustego nie przelejesz. Lacha urodził się ociężały na umyśle i nikt ani nic nie mogło tego zmienić. Taka jego uroda. Niedostatek intelektu natura zrównoważyła wyglądem. Lacha nie ma drygu do bitki. Nie to, żeby miał dwie lewe ręce. Jeśli trzeba, to potrafi przyłożyć. Tyle że wali jak chłop cepem, bez finezji. Ale z obcych mało kto miałby ochotę mu podskoczyć. Wystarczy spojrzeć na Majchrowskiego, żeby delikwentowi przechodziła chęćka.

– Pitbull na dwóch nogach – powiedział raz o nim Baczer. Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, postura nosorożca, wielka głowa, na twarzy dzioby po ospie. Trzeba pójść do monopolowego i odnowić zapasy? Najlepiej posłać Lachę. Jego żaden sprzedawca o dowód nie zapyta.

– Pogłaskaj go – zachęca Baczer.

– Chyba mnie nie lubi – mruczy Lacha.

– Dygasz się?

– Żartujesz?

Lacha sztywno jak manekin pochyła się i muska palcami twardy łeb. Belf spogląda na niego oczami bez wyrazu.

– Chyba faktycznie cię nie lubi.

– Ma charakter – stwierdza Koń.

– Lacha czy Belf? – pyta Baczer.

– Belf. Pitbull z charakterem.

Belf warczy. Lacha robi krok do tyłu.

– Dobry Belf – jąka.
– Nie lubi, jak się do niego mówi – ostrzega Baczer.
– Nic mu nie zrobiłem.
– Zobaczył Szymczaka – domyśla się Baczer. Głaszczcie Belfa. – Nie rusz.

Szymczak z teczką pod pachą przemyka pustym placem do bloku, rozglądając się na boki.

– Filuje, że mało co głowa mu nie odpadnie. – Koń gwizdże na palcach. Szymczak w kilku susach dopada do klatki i znika za drzwiami.

– Dyma na nogach? Sprzedał brykę? – dziwi się Baczer.

– Teraz parkuje dwie ulice dalej – wyjaśnia Koń. – Trzyma merca na parkingu strzeżonym, tym przy biurowcu.

– Boi się, że ktoś mu znowu podprowadzi radio? – chichocze Baczer.

– Wiesz, co sobie teraz kupił?

– Jakiś szmelc.

– Soniaka z odtwarzaczem! Dostalibyśmy najmarniej ze trzy stówy.

– Sony? Dobra marka – rozmarza się Baczer. – Jestem zainteresowany. Nie ma to jak firmowy sprzęt, co, Lacha?

– Nie da rady. Parking strzeżony.

– Jeden emeryt w budce – informuje Koń. – Wychodzi tylko, żeby się odlać.

– No. – Baczer przykuca i głaszczcie Belfa między uszami. Szczurzy ogon porusza się miarowo. – Siatka tak cienka, że Lacha zębami przegryzie.

Lacha drapie się po głowie.

– Chyba trzeba sobie odpuścić. Dziadyga trzyma na parkingu jakiegoś kundla. Narobi jazgotu.

– Kundla można otruć – proponuje Koń. – Dwie minuty i po kłopocie. Mam dostęp do strychniny.

– Sam ci do dupy nasypię strychniny! – Baczer prostuje się powoli.

– Żartowałem.

– Przestaje padać – podchwycza Jolka.

Baczer bierze Belfa na smycz.

- Która godzina? – pyta.
- Lacha spogląda na zegarek.
- Wpół do szóstej.
- Późno się robi.
- Synek chyba nawalił – komentuje Koń.
- Co z nim? – Baczer patrzy na Jolkę.
- Nie nawali.
- Tak dobrze go znasz?
- Zależało mu.
- W ostatniej chwili mógł wymięknąć.
- Gwarancji nie dawałam. Dostał swoją szansę.
- Cykor z elitarnego. Typowe – orzeka Koń.
- Weź się przymknij! – fuka Jolka.
- Koniu, pytał cię ktoś o zdanie? – sarka Baczer.
- Głośno myśle.
- To nie myśl.
- Ja tam nic do niego nie mam – zapewnia pośpiesznie Lacha.
- Widzisz, Koniu? Lacha wierzy w człowieka.
- Nie tak od razu – poprawia się Lacha. – Jak przejdzie próbę.
- Trzeba mieć jaja. No i farta – upiera się Koń.
- Fakt – zgadza się Lacha.
- Za pierwszym razem mało który nie pęka.
- Nie wkurwiał mnie, dobrze?! – krzyczy Jolka.
- Jolka! – mówi ostrzegawczo Baczer. – Nie lubię, jak się zniżasz. Trzymaj poziom.
- Przepraszam.
- Do której czekamy? – pyta Lacha.
- Śpieszy ci się? – mruczy Baczer.
- Nie. Ale jak ściągnie psy?
- Nie nawali – zapewnia Jolka.
- Każdemu może się noga powinąć – marudzi Koń.
- Widziałam go raz w akcji.
- No i? – Koń spogląda na nią pytająco.
- Drugiego dnia szkoły. Taki bysior z trzeciej do niego wystartował.

- I co?
- Dostał raz z glana i się złożył.
- Krótka piłka – mruknął Lacha.
- Zwykły farciarz – skomentował Koń.
- Dobry jest. W klasie żaden koleś mu nie podskoczy.
- Pakuje? – Baczer odpiął smycz i rzucił kij. – Belf, aport!
- Ćwiczy jakąś kopankę.
- Karate? – podchwycyła Koń.
- Dokładnie nie wiem.
- Karate to szajs – oznajmia Baczer.
- Nie gadaj – oburzył się Koń.
- Szajs. Machają nogami jak w balecie. Koniu, ćwiczyłeś trzy lata i co? Cienizna.
- A kto rozwalił połowę ławek w parku?
- Ławka ci nie odda. Każdy głupek trafi.
- Lacha, powiedz mu.
- Co?
- Jak ci dołożyłem pod blaszakiem.
- O czym tu gadać...
- Dostałeś?
- A, od razu dostałeś... To dla zabawy było.
- Zabawa! Kop w nery i kwiczysz. Jak bym ci zasunął w czachę, to byś się nie podniósł.
- Kopa to ty masz, fakt.
- Słyszysz, Baczer?
- W Lachę wali się jeszcze lepiej niż w ławkę.
- To komu mam przywalić, żebyś uwierzył? – Koń się zaperza. – Salecie?
- Saleta to cienias. O, Remy Bonjasky to jest gościu! Tyle że Murzyn.
- Lacha ożywia się.
- W czym startuje?
- K 1.
- Nie słyszałem.
- Taka kopana wolna amerykanka. Można walić kolana-
mi z wyskoku.

– Ja tam wolę boks tajski. Przygrywa im fajna muzyka – włącza się Jolka.

– Tajski może być. Ale do krav maga się nie umywa. – Baczer ciska kij prawie pod blok. – Belf, aport!

– Co za krew maga? – Jolka się krzywi z niesmakiem. – Coś mi to zatraça fantasy. Nabijasz się ze mnie?

– Krav maga, krav pisane przez „fau”. Taki system wal-ki. Bez reguł. Walczysz o przetrwanie.

– To coś nowego?

– Względnie. Początek lat czterdziestych.

– W życiu nie słyszałam.

– To powiedz jej lepiej, Baczer, kto to wymyślił – odzywa się Koń.

– A ty wiesz?

– Mowa!

– No to kto?

– Taki jeden Żydek.

– Żartuje? – Jolka patrzy pytająco na Baczera.

– Żyd, no i co? Żydkom czasem też coś wychodzi.

– Żyd to Żyd. Tak nisko nigdy bym nie upadł, żeby uczyć się od nich.

– Jakbyś całe życie gnieździł się wśród Arabów, to inaczej byś śpiewał.

– Arabusów też nie lubię.

– Jak na ulicy zacnie cię napieprzać trzech kolesiów, to pytasz o rodowód?

– Trzem to i ty byś nie dał rady.

– A jeśli?

– Zwykła ściema.

– Żydzi uczą swoich krav maga już od dziecka. Niezły zapieprz. Ale rezultat gwarantowany.

– Widziałeś takiego w akcji?

– Ja nie. Brat mi opowiadał. Kiblował z jednym takim. Jak kiedyś gościa czterech w łaźni obsiadło, to zaraz trafili na ostry dyżur.

– Siedział z Żydem?

- Koniu, nie przeginaj.
- Przecież sam mówisz.
- Każdy może się nauczyć. Trzeba tylko mieć dryg i samozaparcie. Dyscyplina.
- Co im zrobił?
- Ten z pierdła? Jednemu złamał girę. Któremuś tam wybił oko.
- Najlepiej jest gryźć – odzywa się Lacha.
- Cała trójka spojrzała na niego.
- Coś ci się śniło, Lacha? – śmieje się Koń.
- Nie ma reguł, Baczer sam mówił. Wszystkie chwyt dozwolone. Gryźć też można. Tylko trzeba umieć.
- Baczer mruga do Jolki.
- Czyli jak?
- Gryziesz trzonowymi, bo inaczej można samemu kły stracić. Jak już chwycisz zębami, przekręcasz lekko głowę i jeszcze mocniej zaciskasz szczękę. Wprawny gość potrafi wyrwać kawałek ciała.
- Zalewasz. – Koń macha ręką.
- Dobrze mówi – potwierdza Baczer. – Lacha, gdzie się tak wyedukowałeś?
- Czytałem o tym.
- Lacha czyta książki! – Koń parska śmiechem. – Nie uwierzę!
- Pisali w jednej gazecie.
- Po co ci to? – dziwi się Koń.
- Interesuję się, bo co?
- Lacha ma warunki – stwierdza Baczer. – Widziałeś jego siekacze? Jak zaciśnie szczękę, to już nie popuści.
- Normalny pitbull – żartuje Jolka.
- Baczer przerywa jej:
- Znaie tego gościa?
- Wychylają się zza śmietnika.
- Gdzie jest?
- Czai się przy trzeciej klatce.
- To on – mówi Jolka.
- To mu się pokaż.

Baczer gwizdże dwa razy na palcach. Jolka staje przed śmietnikiem i macha ręką.

Koń patrzy krzywo.

– Mnie się nie podoba.

– Odpuść sobie – ostrzega Baczer. Spogląda na Jolkę. – Zawsze robi się na hip-hopa?

– Nie ma jeszcze stylu. Dojrzewa.

Patrzą, jak się zbliża. Luźny krok, nogi szeroko, głowa lekko pochylona. Ręce w kieszeniach spodni.

– Coś się tak spocił? – zagaduje go Baczer.

– Trochę biegłem.

– Jolka, twoja kolej.

– Simon. Kumpel z klasy. Chce się zapoznać. Znam go dopiero od dwóch tygodni, ale moim zdaniem jest wartościowy.

– Simon. – Wyjmuje z kieszeni prawą rękę i wyciąga do Baczera. – Pisane „es” „i” „em” „o” „en”.

– Baczer. Ten z lewej to Koń, obok niego Lacha.

Koń podaje rękę bez entuzjazmu.

– „Simon” to żydowska ksywa?

– „Koń” to dlatego, że ktoś cię kopnął w głowę?

– Nieźle kopię. Dlatego. Zwłaszcza jak ktoś mi wierzga.

– Możemy się sprawdzić. Chyba że ci się śpieszy.

– Mam dużo.

– Czego?

– Czasu.

– To zacznij już odliczać.

– Wyświadczę ci przysługę. Okay?

– No?

– Skrócę ci ten żydowski nos.

– Koniu, przystopuj! – mówi Baczer.

– Chyba go nie polubię.

– Nie musisz. Daj mu dojść do słowa. – Zwraca się do Simona. – Jolka powiadała ci o nas?

– Trochę. Bez szczegółów.

– Na razie wystarczy. Co masz?

Simon sięga pod luźną bluzę.

– Pasuje?

- Co to jest?
- Pełny komplet. Komórka, portfel, karty.
- O to pytam?
- No, torebka.
- Powaliło cię? Ciągniesz się tu z torebką? Opróżniasz, torebka w krzaki i chodu.
- Nie było czasu. Taka jedna zatrzymała się na czerwonym. Dziabnąłem szybę, chwyciłem torebkę i dałem dyla. Miałem po drodze oglądać?
- Taki jesteś tępy, czy tylko udajesz?
- Mówiłem – wtrąca się Koń.
- Jolka milczy.
- Baczer, mógłbyś nadawać jaśniej? – prosi Simon.
- Baczer pod osłoną śmietnika robi przegląd torebki.
- Forsa jest bezimienna. Bierzesz. Z komórką gorzej, ale ostatecznie warto zaryzykować. I chwacit. Koniec pieśni. Reszta do zsyphu. Tylko dań paraduje przez pół miasta z dowodem i kartami kobitki w torebce. Gdyby cię capnęli, to jak byś się tłumaczył?
- Cienki jest – orzeka Koń.
- Dałeś dupy, nie ma co – stwierdza Baczer.
- Jolka milczy.
- Ale charakter ma – mówi Lacha. – Nie scykorował.
- Stara się – odzywa się wreszcie Jolka.
- Szybki jestem – zapewnia Simon. – Nie dałbym się złapać.
- Sfajdałbyś się ze strachu.
- Skąd wiesz?
- Widzę.
- Gadanie!
- Wsadziliby cię do suki, to nawet byś nie kwiknął.
- Ogólnie daję sobie w życiu radę. Mam dobry refleks.
- Już to widzę.
- Nie wiesz, to nie chrzań. Spokojnie dałbym radę dwóm.
- To pokaż.
- Co?

- Co potrafisz.
- Na solo?
- Koń zapala papierosa.
- Odpuść mu, Baczer. To próchno. Już zaczyna się sypać.
- Powiedz to swojej matce.
- Koń ciska papierosa w kałużę.
- Nie mogę. Nie mam już matki.
- Baczer wchodzi pomiędzy nich.
- Wyluzuj, Koniu. Jest nowy i nie wszystko jeszcze kuma.
- A ty, Simon, nie chlap bez potrzeby. Ze mną rozmawiasz.
- Lacha, rozejrzyj się.
- Lacha znika z drugiej strony śmietnika. Po chwili wraca.
- Pusto – oznajmia.
- Baczer zdejmuje kurtkę.
- Powiedz, jak będziesz gotów.
- W każdej chwili.
- Tu jest w miarę sucho. Starczy ci miejsca?
- Spoko.
- Ściągnij bluzę. Szkoda zniszczyć.
- Moja bluza, moja sprawa.
- Jak chcesz.
- Nie świruj, Simon – wtrąca się Jolka. – Daj, potrzy-
- mam.
- Dzięki.
- Znasz zasady?
- Dostosuję się.
- Walczymy na full. Wszystko dozwolone z wyjątkiem
- ciosów w krocze i twarz. Żadnych ostrych narzędzi.
- Pasuje.
- Walczymy do pierwszej krwi. Albo dopóki któryś się
- podda.
- Dobra. Tylko przywiąż psa.
- Bez mojego pozwolenia nie zaatakuje. I nie mów o nim
- „pies”. Belf, siad. Nie rusz.
- „Belf” to od „belfra”?
- Od „Belfegora”.